

Gdzie bogowie się dogadują

Podoba mi się myśl, że są miejsca, gdzie *sacrum* znosi granice. Miejsca, chwile, klimaty, gdy Ludy Księgi ujawniają swoje pobratymstwo i przynależność do jednej rodziny człowieczej, z księgą czy bez niej. Tańce, dotykane się ciał, gładzenie relikwii. Przekraczanie progów między *sacrum* a *profanum*, światłem a cieniem. I jeszcze: nieskończone powtarzanie, bicie pokłonów, łuskanie paciorków różańca. Chodzi o miejsca, dźwięki, gesty, atmosfery, szaty, światła, ścieżki, które czasem niespodzianie i boleśnie odsłaniają wspólną prawdę o rzeczach.

Mawiamy: „klimaty”. „W grece i łacinie – pisał Elémire Zolla – mówi się o uroku, podobnym do wiatru, aury, którą emanują ludzie i miejsca, a ona rośnie, nabrzmiewa, staje się wirami, tumanem, nawałnicą, jaśniejącym obłokiem, złotym blaskiem, zatyka, ogłusza”. Podobną aurę, charyzmę, czuję w czułym kołysaniu *Ojciec nasz* w języku Chrystusa nad Eufratem, w wylanianiu się harmonii kwint z burzy głosów chasydów rebe Nachmana w Galilei, w hipnotycznych wokalizach i głębokich westchnieniach sufich czisti z Kabulu, w szabasowej modlitwie w Antiochii. „Myśmy lutniami, Tyś tym, który w nie uderza i dobywa z nich tony”, pisał Dżalaluddin Rumi.

Od wielu lat podróżuję po pograniczach monoteizmów, do oaz spotkań, obłożonych przez uzbrojone fanatyzmy, do utraconych ojczyzn dzisiejszych uchodźców. Jak sanktuaria mistyków sufi, które od Mali do Pakistanu znikają pod bombami. Znienawidzeni przez wahabitów, ignorowani przez oświeconych reformatorów islamu i Zachód, nauczyciele sufi są chyba najsolidniejszą opoką przeciw barbarzyństwu. Wypełniają biblioteki, choć nad teorię przedkładają doświadczenie, praktykę nazywają drogą, a fanatyka osłem dźwigającym na grzbiecie stos książek. To dzięki nim islam ubogich zachłystnął się bożym miłosierdziem, doświadczeniem zmysłów, wrażliwością na piękno.

Są to azyle wiar, jak Bosfor, nad którym ormiańskie i tureckie kobiety razem zasypiają przy grobie bizantyjskiego świętego, praktykując *incubatio*, o którym pisało jeszcze przed Herodotem, znieczulając snem dzielącą je pamięć ludobójstwa. Jak monasterium na Pustyni Egipskiej w święte piątki atakowane przez fanatyków – tam gdzie abba Fanous wysłuchuje snów beduińskich pasterzy, przez pół dnia czekających na słońcu na swoją kolej. Jak Kosowo, gdzie muzułmanie oddają cześć nieszczęsnemu świętemu Serbów, królowi Stefanowi, osłepionemu przez własnego ojca i zabitemu przez syna. Jak Damaszek, gdzie chrześcijanie i muzułmanie, szyici i sunnici modlą się ramię w ramię w meczecie Umajjadów przy katafalku Jana Chrzyciela i pod minaretem Chrystusa. Jak monasterium Deir Mar Musa, którego kamienie zostały ułożone na powrót przez chrześcijan i muzułmanów, bo przecież tu modlili się razem przez blisko tysiąc lat, też w nieszczęsnej Syrii. Ziemię tysięcletniego współobcowania, gdzie pękają łańcuchy wen-

det, spożywa się te same potrawy, dzieli kumów, sny, pieśni. Pogranicza oikumeny, z dala od bożych tronów i pępeków świata. Azyle innowierców i skrzyżowania szlaków kupieckich karawan, wydeptywane też przez sandały derwiszów i poetów.

Rok po roku wypełniam agendę *sacrum* jubileuszami śmierci i narodzin świętych, misteriami płodności i zaduszek, pielgrzymkami i składaniem ofiar, chodzeniem i pelzaniem – w kręgu za ruchem wskazówek zegara lub na opak. Są to godziny wybrane, pory roku, przesilenia, równonoc, wiążące i przecinające supły czasu: perskiego, cygańskiego, żydowskiego, etiopskiego – i tak dalej. Ten podróżny brewiarz świata podąża płajem słońca, synchronizuje się z fazami lunarnymi, znacząc odwieczny rytm powrotu: raz jeszcze, każdego roku od początku, co siedem lat, przez 40 dni, od nowa.

Ale jak się rozemnieć, nie zgubić, nie zwariować pośród kalendarzy i epok, w tej niezliczonej liczbie znaków, miar, alfabetów, z lewa na prawo i szywrot na wywrot, myślałam pewnego razu w Jerozolimie, patrząc przez okno na mur – wbijający się w ogród goszczących mnie zakonników, nieopodal Góry Oliwnej. Mur żył własnym życiem, przesuwając się, rósł i rozciągał, a nocami, przez szparę w murze, wąską jak ucho igielne, biegły cienie: po połóżną, do żony albo do synagogi na modlitwę poranną Żydów – jak muzułmanin Awni Amarneh z Betlejem, ojciec ośmiorga dzieci, który był jej strażnikiem. Palestyńczycy przemykali się przez mur nocą, by dało radę jakoś żyć, a ja za dnia, przebierając się w kostiumy sceniczne, jak kameleon przekraczałam w Świętym Mieście niewidzialne mury między wyznawcami siostrzanych religii Abrahama. Pewnego dnia tę szparę zaplombowano i nagle poczułam, że te osobne i ksbne kalendarze gdzieś się anulują, nakładają, zabijają jak tarcze zegara, pomiędzy którymi już swobodnie, bez posterunków, przemieszczają się żywi i umarli. A droga i doświadczenie piszą żywą mapę świata, poza historią. Ona czasem odsłania się i jak zaszyfrowany średniowieczny kodeks ujawnia chwile, gdy bogowie się dogadują. Okazje nieoczywistych spotkań. Eliasze staje się Zielonym Prorokiem Khidrem, św. Jerzym na koniu



Nomadzi Nilu są światem bez hierarchii, podzielonym między dziesiątki plemion, z którymi rzadko wchodzi w alianse. Autorytet należy do osoby, do tego, kto potrafi rządzić chmurami deszczu, z czarować, zatańczyć. Południowy Sudan.



W Damaszku w meczecie Omajadów chronionego „minaretem Chrystusa”, chrześcijanie, szyici i sunnici modlą się przy grobie Jana Chrzciciela. Syria.



Humań daje rebemu Nachmanowi z Braclawia niepowtarzalną okazję, by związać zagubione, zaniedbane dusze w węzeł życia. Nachman wie, że tysiącami przyjdą na jego grób i ich modlitw starczy dla wszystkich dusz. Ukraina.



Cicho pada śnieg nad Bosforem. Modlitwa w półtonach przynosi odpoczynek. Pośród sufich tańczą kobiety, a ich obecność znosi wszelkie tabu. Muzułmańskiej chorei asystują patriarcha Konstantynopola, naczelny mułła i rabin Stambułu. Jest to noc wyjątkowa, noc śmierci Poety. „Dźwięk fletu nie jest podmuchem lecz płomieniem. W muzycznych kadencjach kryje się tajemnica, gdybym ją wyjawiał, wstrząsnęłaby światem”, pisał Dżalaluddin Rumi. Stambul.



W niektórych grobach wyłobiona jest miseczka, na wodę dla spragnionych dusz. Opowiadają, że w co siódmym ptaku mieszka dusza zmarłego, więc na wszelki wypadek lepiej nakarmić wszystkie. Afganistan.



Imitacja arabskiej kaligrafii, ozdobiona krzyżami, stała się na Haiti amuletem w rytuałach wudu, na wzór muzułmańskich tawiz, magicznych zapisków z Koranu: słowa, które stało się ciałem, pisma, które, jak aspirynę na wszelkie bóleści, można zjeść.



Haiti – lustro Afryki, siedziba bogów na wygnaniu, którzy prowadzą nas do dzieciństwa Europy i mitów Śródziemnomorza: do syreny, która wylania się w karaibskim piekle Hiszpanioli, Oguna wojowniczego jak Zeus, Legby, boga słowa, niczym Hermes.



Tysiące apulijskich kobiet w czerni i jedna, potężna pieśń *Stabat Mater*, żałoba Demeter. Włochy.

czczonym na Bałkanach przez muzułmanów i chrześcijan. Do Maryi modlą się muzułmanki Stambułu i Kairu. Długa jest lista duplikowanych tożsamości świętych – tych wiodących prym i tych pomniejszych. Pewnego dnia żydowski Pesach spełnia się z chrześcijańską Paschą w przeddzień urodzin imama Husajna, a w roku Pańskim 2015, po raz pierwszy od prawie pół milenium, muzułmanie świętują wigilię narodzin Mahometa tej samej nocy, gdy rodzi się Chrystus. Zbieżności, koincydencje. A jednak – choć dziwne to dziś przypominać – religie przeglądały się w sobie przez wieki i pożyczaly od siebie nawzajem gesty, melodie, zwyczaje, świętych, jak dobrzy sąsiedzi pożyczają sobie sól. Może właśnie po to, by oprzeć się czarowi nocy betlejemskiej, Fatymidzi ogłosili narodziny Proroka państwowym świętem i odtąd wigilia islamu celebrowana jest od Magrebu do Indonezji radosnymi pochodami, hucznymi tańcami, prezentami dla dzieci, błyskiem sztucznych ogni i kolorowych lampionów i pomnażana jest w miriadach pomniejszych wigilii dla lokalnych świętych.

Gdy wspominam najbardziej intensywne i tajemnicze chwile, których doświadczyłam, zdaję sobie sprawę, że ujawniają one spójną i solidną całość, ciągłość, którą odczyliśmy się obserwować, uzależnieni od powierzchniowego wrażenia kataklizmu – dziś gorliwie by podpowiedziano: konfliktu cywilizacji – który ma tylko dzielić. Zaprzeczają mu święci. Dobry święty jest dobry dla wszystkich. Zaprzeczają mu ciało, wehikuł modlitwy i antena niewidzialnego, poprzez które to, co boskie, wyrzeka się ograniczeń i hierarchii, ściągając nietolerancję i seksofobię nowych, uzbrojonych monoteizmów wykluczających. Ciało, które tańczy, kocha, klepie pacierze, wiruje, płacze, śmieje się, bije poklony, wpada w ekstazę, poddaje się i oddaje, wypożycza i służy, przebite ostrzem doświadczenia. Zaprzeczają mu miejsca brzemiennie w symbolu, w których, jak krab pustelnik w opuszczonej muszli, moszczą się wyznawcy kolejnych kultów.

Podróżuję w pojedynkę, bo samotność bez filtrów i osłony jest niezbędna w spotkaniu, a jest to zawsze droga do ludzi i wśród ludzi. Mam, owszem, wiernych kompanów podróży: pośpiech i lęk, że nie zdążę. Czasem nie zdążam. A może oznaczam miejsca do zlikwidowania? Są nazbyt kruche nie tylko wobec fanatyzmów, ale też komercji zamieniającej święte miejsca w lunaparki fotografów. Lepiej więc zacierać nazwy, daty, ścieżki, atramentem sympatycznym pisać słowa-klucze na tej nieziemskiej mapie ignorującej mury wznoszone przez kaznodziejów i protagonistów globalnej wojny. Od serca Azji do Ameryki Łacińskiej, od Maghrebu do Bliskiego Wschodu, od źródeł Nilu do ujścia Onegi. Tam, gdzie z groźnych cieni monoteizmów wynurzają się znaki, obecności, gesty, spojrzenia. Zatem Afryka, a raczej Afryki, ze swoimi bogami na wygnaniu jak ludzie, łono żywych archetypów, gdzie religijność, czyli dosłownie „więź”, buduje się na wzajemnym obcowaniu żywych i umarłych, nieustającej rozmowie z przodkami. Miejsca, gdzie słowa nie są od-

dzielone od rzeczy, zamieszkałe jak Grecja starożytnych przez bogów stworzonych na kształt człowieka.

Święte wody Karaibów. Czarne skały Atlasu. Kosmiczne słupy Afganistanu. Domy cadyków. Domy szajchów. Grobowce poetów. Groty guślarzy. Ścieżki malangów. Namioty szamanów. Namioty nomadów. Ścieżki ich koczowniczych sezonowych wędrówek. Gaje i źródła *sacrum* w głubinkach świata. Miejsca schrony. Groty gór Libanu i irańskiego Kurdystanu. Łachy delty Dunaju. Ukryte doliny Kaukazu, gdzie przyni skaczą do nieba jak sufi i chasydzi. Miejsca mosty, jak ten na małej rzece Grajcarek pod Krakowem, która dzieliła Bizancjum i Rzym, opowiadał Jerzy Nowosielski, nieczytelny dla barbarzyńców. Miejsca, gdzie od stuleci przechowuje się słowa przekazywane z ust do ust, a z nimi wiedzę o początkach, metafory wtajemniczeń i przemian, recepty na przetrwanie. Miejsca „oczyszczane” bombami, „nieczynne” po kolejnej rzezi niewinnych, tępione z pulpity i ambon, lekceważone, a w najlepszym wypadku wyśmiewane. Święte rozdroża, węzły, skąd rusza ścieżka w głąb lustra.

* Jest to fragment książki *Święte rozdroża*, która we wrześniu 2017 roku wyjdzie po angielsku i włosku w wydawnictwie Contrasto (włoskiej filii agencji Magnum) a zaraz potem w Polsce.



O zachodzie słońca płoną złotem inkrustacje fasady meczetu Alego, mitycznego pogromcy smoka i księcia kruszcza, patrona Kabulu.